

Polemika słowo w Poznaniu nieznane

W jednym z felietonów wystąpiłem w obronie Łazarza i Ostroroga, które to stare dzielnice Poznania znieśli z jego oblicza (patrz kierunki jazdy tramwajów) jacyś bezdusznicy urzędnicy. Pisałem także o „Bazarze” (daliśbóg zapomniane o św. Marcinie!) oraz o sercach, przebitych strzałą na la-weczce w ulicy Ludgardy. I cóż z tego. Nikt mnie o to nie za-atakował i nikt nie przyszedł mi z pomocą. W Warszawie na ludzi, którzy przemianowali by Marszałkowską na ul. św. Biurokracego, lud stolicy wydałby wyrok śmierci, a tramwaj z tak bezsensownymi nazwami, jak w Poznaniu, wyskoczyłby chyba z szyn.

W czasie okupacji w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu ukazała się na latarni powieszona za nogi zdechła kura. Obok na sznurku dyndała kartka z dwuwierszem:

„Wolę być zdechłą kurą
i wisieć do góry nogami
Niż podłych Szwabów
karmić swoimi jajami...”

W tym kpiarskim dwuwierszu warszawskiej ulicy kryła się kpina z znieuawidzonych „szkopów”, a zarazem manifestacja przekory, protestu, godności własnej i duchowej niepodległości warszawiaków. Zdechła polska kura była antysymbolem hitlerowskiej żarłoczości. Na ten akt protestu stać było lud warszawski, odżywiający się często buraczką na marmeladę, czarnym chlebem i sacharyną.

Ludzie warszawscy są dziś w pierwszych szeregach budowniczych socjalizmu. Z właściwym jednak sobie humorem i temperamentem analizują, błyskawicznie diagnozują i realnie oceniają nowe życie, w nowej stolicy. Nigdy nie są na nie obojętni. Dostają się więc ciągle różnym biurom i zawiadomieniom, poutrakom i szmatławcom czykom oraz nieżyłociwom nie raz i szkodliwym urządzeniom społecznym.

Warszawski humor i dowcip jest metodą, która wnosi konstruktywną polemikę tam gdzie trzeba. Dyskusja toczy się wszędzie: w tramwaju, w kawiarni, w biurze i na ulicy.

Pamiętam jak przed miesiącem w jakimś ogonku wrzała dyskusja na temat Ważyka. Próbowaliśmy na ten temat dyskutować w Poznaniu w pewnym środowisku. Część moich rozmówców unikała raczej drażliwego tematu, drudzy nie bardzo w nim się orientowali, inni mylili „Poemat dla dorosłych” ze znanym wierszem Minkiewicza w „Szpilkach”. Ostatnim wreszcie, najbardziej podejrzliwym wyjaśniłem, że „Nowa Kultura” jest polskim oryginalnym czasopiśmie literackim, nie zaś polską mutacją radzieckich „Nowych Czasów”.

Na gościnnych łamach, które użyczyła mi redakcja, chciałbym dotykać spraw, które nie są wymierzalne ani w łokciu, ani w monacie. Sprawy te liczą się jednak wiele, bo decydują o ostatecznym wyrazie, uroku i sensie naszego życia. Bo takie życie od biurka do stołu, od stołu do bufetu i od bufetu do łóżka, jest bardzo smutne, bez wyrazu i polotu.

Mówicie mi, że lubicie plotkować. Cóż z tego, kiedy tylko na ucho. Boicie się mówić głośno, dyskutować i polemizować. Zmowa milczenia jest wśród nas. A propos dyskusji. Jeden z naszych redaktorów powiedział do mnie kiedyś: „Dyskutować w Poznaniu na tematy kulturalne, z kim? Wszystkich dyskutantów zbierze pan przy jednym stole w „W-Z-cie”!

Że musi być, skoro tak sceptyczny sąd o znanych mu bądź co bądź czytelnikach, wydaje redaktor popularnej gazety. Nie chciałem wierzyć, poszedłem więc kolejno do „W-Z-cie”, „Arkadii”, „Cristali” i „Stylowej”. Niedyskretnie przy słuchaniu się rozmowom. Były różne. Przeważała jednak tematyka: „Kto, z kim, gdzie” lub z cyklu: „dziś a przed wojną” lub o strategii kopania dołów pod kims. Ze zbliżeniem się wieczoru, tematyka rozmów przy pewnych stolikach ewoluowała w kierunku rozważań o ściśle anatomicznych o znanej nam już „Marny”. Zaznaczam, że wychwytywałem rozmówki na tzw. wolne tematy, nie interesując się konkretnym tematem pt.: „kupno i sprzedaż” lub konspiracyjnymi półtonami rozmów na tematy polityczne.

Moi drodzy, jeśli lubicie plotkę, to powiem Wam, że „plotka kulturalna” z szerszym odde-

(Dokończenie na str. 3)



Maria Łapińska
jako Rajska
Ptak z obrazu X
„Harem” w ba-
lecie L. Róży-
ckiego — „Pan
Twardowski”.
Fot. „Fotos” —
G. Wyszomirska

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela 13 XI 1955
Rok VI Numer 43

Kazimierz Nowowiejski

L. Różycki i jego dzieło

Kompozytor baletu „Pan Twardowski” urodził się w domu wyjątkowo muzykalnym. Matka Ludomira była pianistką, a ojciec zajmował się pedagogią i to z takim zamiłowaniem i talentem, że do dzisiaj każde polskie dziecko uczące się na fortepianie gra choć jedną z doskonałych „Szkół” Aleksandra Różyckiego. Młody Ludomir tworzy pierwszy swój poemat symfoniczny „Stańczyk”, mając zaledwie 18 lat. Wkrótce pisze następne większe kompozycje — dwa poematy na orkiestrę: „Bolesław Śmiały” i „Pan Twardowski” (1905 r.). Oba utwory będą załącznikiem późniejszych, dojrzałych dzieł Różyckiego. Ze „Śmiałego” powstał w roku 1909 opera w 3 aktach (do libretta A. Bandrowskiego), a z „Twardowskiego” wyłoni się balet pod tym samym tytułem (1921 r.).

Już w tych wczesnych pracach objawiła się osobowość twórcza Różyckiego, jego umiłowanie tematów narodowo-historycznych i zdecydowana programowość muzyki. Wprawdzie pierwsze utwory były poematami symfonicznymi, ale wyrazisty kontur motywów, temperament tej muzyki, niewątpliwa teatralność nastroju — wszystko wskazywało, że właściwym powołaniem Różyckiego będzie scena. Tutaj wypowiedział się istotnie najpełniej.

Po „Bolesławie Śmiałym” powstają kolejne kompozycje sceniczne: „Meduza”, „Eros i Psyche”, „Pan Twardowski”, „Casanova”, „Beatrice Cenci”, „Młyn Diabelski”, „Lili chce śpiewać”, „Apollo i dziewczyna”, „Pani Walewska”. W sumie 10 pozycji, oczywiście różnej wartości — od dramatu muzycznego do operetki. Już poczynając od „Twardowskiego” i „Casanovy” Różycki skłania się ku rodzajowi „rozrywkowemu”. Kompozytor ten miał dar płynnej inwencji. Jego „lekkie” melodie zyskiwały sobie wyjątkowe powodzenie w całym kraju: walc z „Casanovą”, „Rajska ptak”, „Laleczki moje” były i są na ustach wszystkich naszych śpiewaków. Nie wolno lekceważyć tego faktu! Pieśni Różyckiego popularyzowały muzykę w szerszych masach, przygotowywały przyszłych odbiorców Sztuki (przez duże S). Tym niemniej ta sympatyczna cecha twórczości Różyckiego jednemu mu tyłu przyjaciół, ilu wrogów — przede wszystkim wśród naszych licznych „purystów” (czytaj: pedantów), dla których nawet opera jest sztuką wulgarną i paktowaniem z publicznością, kompromisem „niegodnym prawdziwego artysty”.

„Pan Twardowski” okazał się dużym sukcesem Ludomira Różyckiego. Różne na to zostały przyczyny. Przede wszystkim zadziwiła nas tu łatwość kompozytorska ilustrowania sytuacji scenicznych trafnie dobranymi fragmentami muzycznymi, ustawicznie kontrastowanymi. Tragiczna, nuta liryczna, demoniczna, fantastyczna, groteskowość, hu-laszcza wesołość — przeplatają się ustawicznie, tworząc prawdziwy kalejdoskop nastrojów. Dodajmy nadto: pomysły muzyczne Różyckiego są pełne tanecznego rozmachu, pod-

względem inwencji łatwo uchwytne dla publiczności, jakkolwiek niegłębokie, często balansujące na granicy operetki czy nawet rewii. Obok momentów o charakterze ilustracyjnym spotykamy kilkanaście dłuższych tańców — na czele z czarującym walcem (bardzo à la Strauss), „tragicznym polonezem”, zadziwytym krakowiakiem, „góralskim”, czardaszem i oryginalnym gamelanem (taniec wschodni). Różycki harmonizuje ze smakiem (impresjonistycznie), instrumentuje do-wcipnie i pomysłowo.

Według autorskiej koncepcji libretta (opartego na powieści Kraszewskiego) „Pan Twardowski” był rodzajem rewii. Akcja stanowiła czynnik drugoplanowy. Widz miał być olśniewany coraz nowymi kompozycjami tanecznymi, coraz nowymi dekoracjami i tualetami. Urozmaicony scenariusz S. Ordoni każe nam oglądać Mistrza Twardowskiego na tle kopalń srebra w Olkusz, by za chwilę zaprowadzić go na Krzemionki (podkrakowskie), do komnaty króla Zygmunta Augusta, nawet na Wschód i wyładować w końcu aż na księżycu. W tej I wersji balet Różyckiego cieszył się na premierze warszawskiej (1921) zasłużonym powodzeniem.

Feliks Parnell jest najnowszym inscenizatorem dzieła Różyckiego, wystawionego właśnie przez Państwową Operę w Poznaniu. Parnell — jako reżyser i choreograf w jednej osobie postanowił „Twardowskiego” odczytać na nowo, jako tak zwany „balet akcyjny” (ballet d'action), spodziewając się, że utwór nabierze przez to więcej dramatycznego wyrazu. W tym celu wydułwał wątki anegdotyczne, tworząc większe całości, dłuższe linie. I tak zaraz po obrazie „pracowni alchemika” dał „Łysą Górę”, aby pokazać wyraźnie przemianę starego Mistrza — w młodzieńca (u Różyckiego była inna scena na tym miejscu). Pomysł reżysera skończył się jednak katastrofą. Bieda z tym, że muzyka nie wszędzie „podchodzi” pod nową akcję. Jaskrawy przykład: jeden z najlepszych numerów baletu — słodkawy, powabny walc, taneczny przez rozdzakiwane diabły i diablance —

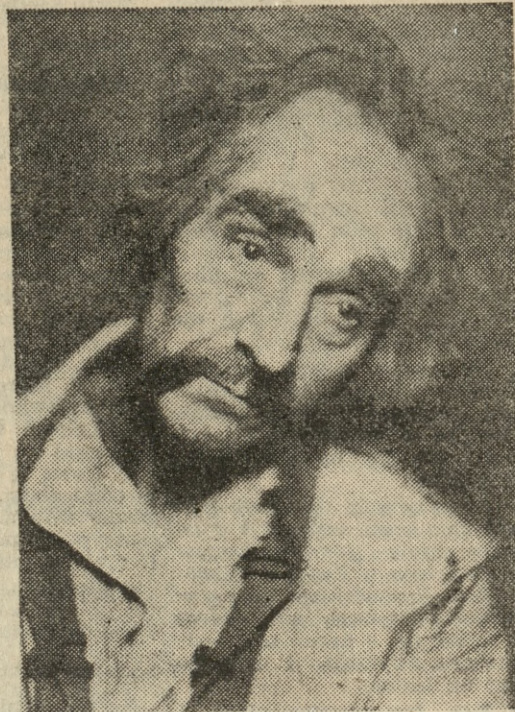
chybia efektu. Ależ to nie jest szatański „Mefisto - walc” Franciszka Liszta!

„Polonez tragiczny” w oryginalnie miał stanowić intermezzo orkiestralne czyli od-pieczynak dla widza, trochę o-szołomionego dotychczasowym efekciarstwem. Insce-nizacja tego tańca jest już do-statecznie odważnym pomysłem (wbrew kompozytorowi). Tymczasem między Polonez a scenę u Króla wciśnięto je-szcze jeden obraz. Rozumiem intencję reżyserską Parnella: pokazać „zatańcowanie” na śmierć Barbary przez demona i jej pogrzeb — jako wstęp do nastrojowej sceny komnatowej (u Zygmunta Augusta). Ale nie starczyło muzyki na scenę pogrzebu, stanowczo zbyt migawkowo przelatują-cą.

Tych kilka zastrzeżeń natu-ry muzycznej oczywiście nie wyczerpuje problemu oceny pracy Feliksa Parnella. W sztuce baletowej — obok mu-zyki — choreografia odgrywa główną rolę. Osobne też omó-wienie należy się olbrzymiej pracy Stanisława Jarockiego (14 obrazów i liczne kostiumy).

Zdzisław Górzyński wysta-wieniem baletu Różyckiego dał dowód konsekwentnie pro-wadzonego planu zaznajomie-nia publiczności powojennej z utworami ojczystej kultury — poza Moniuszką („Gopla-na” Zeleńskiego — „Legenda Bałtyku” Nowowiejskiego — „Pan Twardowski” Różyckie-go). Dyrektor Górzyński pro-wadził premierę z całym wy-czuciem efektywności teatral-nej — tak właściwej autorowi — „Casanovy”. Przelat w par-tyturze żywiołowość swego buj-nego temperamentu. Także or-kiestra zaskoczyła na słusne brawa, których publiczność nie żałowała. W „scenie hare-mowej” śpiewał duet wokalny Sypniewska-Kustosik, niepo-trzebnie umieszczony w „ka-nale” orkiestry, przez co głos Sypniewskiej wypadł nazbyt fersownie. Duet miłosny po-winien zabrzmić nastrojowo i miękko, z za kulis, z oddali. Odwrotnie: uroczysty chór fi-nalowy był tylko ledwie sły-szalny. Czyżby stał za daleko? W każdym razie nie rozumiało się słów. Ale to oczywiście ty-lko usterki premierowe.

Feliks Parnell
jako stary
Twardowski w
baletcie L. Ró-
życkiego „Pan
Twardowski”.
Fot. „Fotos” —
G. Wyszomirska



BALET czy widowisko?

Teodor Śmiełowski

Pan Twardowski — balet-pan-tomima Ludomira Różyckiego — oparty na starych podaniach według nowego scenariusza, w opracowaniu choreograficznym i reżyserskim Feliksa Parnella — wywołał po premierze poznańskiej szereg kontrastowych dyskusji. Jedno razowe lub nawet dwukrotne oglądnięcie spektaklu nie pozwala jeszcze na dokładniejszą i obiektywniejszą analizę dzieła — tak przy-tłoczeni jesteśmy nawalem szczegółów, a zarazem oszołomieni dynamiką akcji, nie mając czasu na „kontemplację tańca”, jak to miało miejsce np. w „Jejorze łabędzim”, a nawet znacznie bardziej zbliżonym do „Pana Twardowskiego” typie baletu — „Cagliostro w Warszawie” — Maklakiewicz, którego prapremiera odbyła się po wojnie w Poznaniu. Zarówno jeden jak i drugi balet w centrum akcji stawia czar-noksiężnika, jakże jednak odmiennymi zmiernia ku temu środkami. Feliks Parnell — twórca o niezwy-kle erupcyjnej sile fantazji wyrażanej realistycznymi środkami — skupił swe długoletnie doświadczenia baletmistrza i tancerza na przetłumaczeniu na język ruchu i gestu kalejdoskopowo-filmowych niemal przygód Pana Twardowskiego. Zaden inny balet nie odpowiadał może tak temperamentowi i psychice baletmistrza, czującego się najlepiej w kostiumowej grotesce i lubującego się w tanecznych scenach zbiorowych.

„Pan Twardowski” w samym librecie posiada wiele elementów filmowych, stąd jego charakter kalejdoskopowy, a ostatnia koncepcja 14 odsłon wraz z prologiem i epilogiem sprawia wrażenie divertissement, spektaklu złożonego z szeregu numerów tanecznych. Stąd raczej charakter widowiska, gdzie „szaleje” scenograf przy pomocy techniki teatralnej, gdzie ruch, barwność i umiejętność operowa-

nia grupami zostały wykorzystane do maksimum, choćby nawet stało to nieraz trochę na bakier z logiką, przejrzystością kompozycji lub też konsekwencją rozwoju akcji w sensie muzycznym.

W baletcie pełnospektaklowym, rozczłonkowanym na dość liczną ilość obrazów przedzielonych pauzami — najtrudniej zharmonizować umiejętnie całość w „taneczne crescendo” treści i formy, nie zagubując po drodze myśli głównej i nie zagubując także... tańca na rzecz tricków, gagów, efektów świetlnych — akustycznych i popi-sów akrobacji. Nie wchodząc w głębszą analizę słusznej lub nie-słusznej drogi realizacji „Pana Twardowskiego” u Parnella — musimy przyznać mu bezstronnie sporą dozę inwencji w sensie inscenizacyjnym i reżyserskim. Potrafił on we wszystkie postaci baletu wlać krew żywych ludzi, nie wylaczając całej hierarchii diabłów pojętych zresztą dość antropomorficznie. Wirtuozeria techniczna nie stanowi tu „sztuki dla sztuki”, lecz wprzęgnięta została dość konsekwentnie w nowe czytanie libretta i mimo „radikałnego uszeregowania” partytury zsynchronizowana ściśle z muzyką zgod-nie z duchem przedstawionej epoki. I to jest bezwzględnie walnym zwycięstwem Parnella.

Cały I akt, przeprowadzający widza przez różne kręgi piekła (Łysa Góra, grota w Olkusz, Tartar) — klasyczny, II akt — szlachecko-wschodni i III akt — ludowy, zamykają niejako trzy odrębne ujęcia baletowe. Właśnie akt II nasuwa bodaj najwięcej wątpliwości i wypada jakby poza ramy akcji, choć stosunkowo najwięcej w nim prze-cież dłuższego oddechu tańca w całym przez słowa znaczeniu. Sabat czarownic na Łysej Górze, nowa wersja „Nocy Walpurgi”, podobnie zresztą jak Olkusz i Tartar — wibruje od ciągłego ruchu i zmian grupowych, gdzie diabeł pokazany jest po raz pierwszy bez tradycyjnego kopyta i chwostu. Nieco rewiowy charakter tych obrazów, przesyconych silnie elementem orgiastyczno-zmysłowym, mimo pewnego chaosu poszczególnych grup tanecznych — porywa swoistą „monumentalnością” oraz efektywnością takich postaci historyczno-mitologicznych, jak Judyta, Medea, Kleopatra i Helena.

W zupełnie odmienny klimat przenosi nas akt II, poczynając od parku i komnat królewskich, a na haremie wschodnim kończąc. I tu jedna uwaga natury ogólniejszej, że o ile w „Jejorze łabędzim” na ogół triumfy święcił poznański żeński zespół baletowy z solistkami, o tyle w „Panu Twardowskim” — męski zespół baletowy. Potwierdza to w zupełności cały akt III, gdzie E. Kowalczyk — mimo drobnych prze-rzutek — w roli Pani Twardowskiej — wspólnie z F. Parnellem, jako starym Twardowskim, stworzył wybijające się kreacje.

Osobna uwaga należy się K. Drzewieckiemu i W. Milonowi. Obaj świetni technicznie o sporej finezji skoku i piruetu, jakże odmiennymi operując środkami ekspresji aktorskiej. Konrad Drzewiecki, czolowy, a może i najlepszy w Polsce tancerz charaktery-styczny — wydaje się przerastać w tej kreacji samego Wójcikow-

(Dokończenie na str. 2)



Tematem zebrania miał być plan pracy, ale ponieważ nie wszyscy jeszcze zeszli się, pospiewamy sobie trochę. Zaczyna Janka! (Patrz reportaż pt. „Portret Makarenki” na nast. stronie)

Echa wielkopolskie w „Panu Tadeuszu“

Biorąc do ręki „Pana Tadeusza“ i myśląc o reminiscencjach w nim wielkopolskich, trzeba pamiętać inwokację z I Księgi:

Litwo, Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Wyrazem tej tęsknoty do rodzinnych stron jest w całej epopei każda księga poematu, każda niemal strofa. Nie przesłoniły Mickiewiczowi lasy wielkopolskie — litewskiej Puszczy Rudnickiej i Naliboczek; urok doliny Warty w Dębnie — Wilii „Strumieni Rodzica“ i błękitnego Niemna. Słacheckie dwory wielkopolskie nie przyciły swoim splendorem zaścianków w Nowogrodzie, może uboższych ale bardziej romantycznych.

Mickiewicz jednak, według świadectwa Bohdana Zaleskiego, „wydumał“ „Pana Tadeusza“ tu w Wielkopolsce i nawet napisał nieznaną bliżej fragment.

Po przybyciu do Wielkopolski nasz poeta odwiedził w pałacu życie polskich dworów po tularce w Rosji, choć znalazł w Poznaniu inne stosunki polityczne, gospodarcze i społeczne, a nawet nieco odmienne zwyczaje i obyczaje niż na Litwie.

Tam, po aresztowaniach i zesłaniach młodzieży filomackiej i filareckiej nie było wesoło w dworach litewskich. Nie urządzano hucznych polowań, nie było w domach szczęścia, bo go nie było w ojczyźnie.

Inaczej działo się w Wielkopolsce. Przez Poznańskie pomiędzy 1815 a 1830 rokiem przechodziła fala liberalizmu pruskiego. Mieszkańcy królewski, ks. Radziwiłł, starał się zjednać szlachtę i zbliżyć do dworu. Pewne swobody językowe w szkolnictwie i sądownictwie stwarzały pozory wolności obywatelskiej. Ziemiaństwo korzystało z taniej siły roboczej po pruskiej korekcie do reformy rolnej z 1811 r. w danej w 1816 r., a uciskającej „nie sprzążajnego“ chłopca. Sprzążało to wzrostowi dobrobytu ziemian. Idyllę tę przerwało dopiero powstanie listopadowe, w którym z Poznańskiego wzięła udział część młodzieży szlacheckiej, mieszczan i chłopów.

Mickiewicz, przybywszy do Wielkopolski, znalazł tu względny spokój i mógł obserwować życie dworów i porównywać je ze zwyczajami i obyczajami na Litwie. Dostrzegł między innymi te same przywary szlacheckie, kłótnie, waśnie i pieśniactwo, co i w Litwie. W wywodach Protazego czytamy:

„Iż proces nasz skończy się dziwnie, ja nie przeczę,
Wszakże były przykłady: pamiętam procesy,
W których się działy gorsze niż u nas ekscesy,
A intercyza cały zakończyła kłopot,
Tak z Borzobogatymi pogodził się Łopot,
Krepsztynowie z Kupcami, Putrament z Pikturą,
Z Odyńcem Mackiewiczem, z Kwileckimi Turno.

Poeta rozmyślnie połączył tu rodziny litewskie z poznańskimi Kwileckimi i Turnami, aby wykazać te same ich skłonności do sporów i procesów.

Z Turnów z Objezierza, jeden, Adam, oficer wojsk napoleońskich, zawołany gawędziarz, który strwonił wielki majątek i żył z łaski krewnych od 20 lat, stał się najprawdopodobniej praworem dla niektórych postaci w „Panu Tadeuszu“. Niby Asesor;

„...dawniej człek dostatni,
Schedę ojca swojego i majątek
Wszystko strwonił, na wielkim
figurując świecie.
I jak Wojski:
On pana zastępuje i on w niebytności
Pana zwykły sam przyjmować
i zabawiać gości.
(Daleki krewny pański i przyjaciół domu).

A dalej czytamy:
Lubił bardzo myślistwo już to dla zabawy,
Już to, że odgłos trąbki i widok obławy
Przypominał mu jego lata młodociane,
Kiedy miał strzeleńców licznych i psy zawołane;
Teraz mu z całej piśniarki dwa charty zostały.

Ten fakt autentyczny potwierdza w swych pamiętnikach

Henryk Barański

kach Adam Turno. Mickiewicz, choć sam — jak mówił o sobie — „lichy myśliwy“ brał udział w licznych polowaniach w Wielkopolsce. Wtedy może widział strzelbę u jednego z myśliwych, którą tak zachwala:

Tęga strzelba, prawdziwa to
Sagalasówka,
Napis: Sagalas London à Balababówka.
(Sławny tam mieszkał ślusarz
Polak, który robił
Polskie strzelby, ale je po angielsku zdobit).

Strzelba ta była przed ostatnią wojną w zbiorach Fredrowskich w Benkowej Wiszni.

Na przykładzie powyższym widzimy, jak poeta umieszcza polowanie na niedźwiedzia w kniejach litewskich, wplótł w poemat reminiscencje poznańskie. Takim wspomnieniem z Wielkopolski jest ustęp o kawie, którą na Litwie wówczas podawano w kamiennych garnuszkach. O takie naczynia dopraszał się poeta w Smielowie. Kawę tę przyrządzała pani Ciastowska, zdrobniale „Ciastusia“ zwana. Przypominał ją sobie poeta nad Sekwaną i w II Księdze poematu napisał:

W Polsce, w domu porządnym,
z dawnego zwyczaju,
Jest do robienia kawy osobna
niewiasta,
Nazywa się kawiarka...

Ze wspomnianym Adamem Turno wiąże się pochwała gry w warcaby. Turno był zawołanym graczem i zapewne nie jedną partię z Mickiewiczem grywał.

Mickiewicz wędrując „rzemiennym dyszlem“ po dworach wielkopolskich, wchłaniał zapamiętałe opowiadania. Jeden z biografów poety, Klemens Kantecki we lwowskim „Ruchu Literackim“ (1875 r.) wspomina, że gdy pewnego razu wybuchł spór między myśliwymi w Smielowie przy obiedzie, Mickiewicz tak się zasłuchał, że zapomniał o jedzeniu, choć nie zapomnieli o nim zapalczywi myśliwi. Po obiedzie poeta wpadł do kuchni i w popiele upiekł sobie kilka kartofli, ku zgorszeniu kuchmistra.

Jeżeli w dotychczasowych urzywkach poematu mamy mniej lub więcej ubożne dowody wielkopolskich ech w „Panu Tadeuszu“, to wyraźnie występują one w VII Księdze poematu, w opowiadaniu Bartka Prusaka. Mickiewicz zaczerpnął je z ust Adama Turny.

„Pamiętam, kiedy przeszedł Francuz przez Wartę,
Bawilem zagranicą wtenczas,
w roku Pańskim
Tysiącnym osiemsetnym szóstym; właśnie z Gdańskiem
Handlowałem, a krewnych mam
wiele w Poznańskim.
Jeździłem ich odwiedzić; więc
z panem Józefem
Grabowskim, który teraz jest
rejmentu szefem,
A podówczas żył na wsi blisko
Objezierza,
Polowaliśmy sobie na małego
zwierza.
Był pokój w Wielko-Polsce, jak
teraz na Litwie;
Wtem nagle rozszalała się wieść
o strasznej bitwie;
Przybiegł do nas postaniec od
pana Todwena,
Grabowski list przeczytał, krzyknął:
„Jena! Jena!
Zbito Prusaków na łeb, na szyję;
wygrana!“

Ja, z konia zsiadając, zaraz
padłem na kolana,
Dziękując Panu Bogu. — Do
miasta jedziemy,
Niby dla interesu, niby nie nie
wiemy;
Aż tu widzimy: wszystkie landraty,
hofraty,
Komisarze i wszystkie podobne
psubraty
Kłaniają się nam nisko; każdy
drży, błędnie,
Jako owad prusaczy gdy wrzaski
kiedy kto złe,
My śmiejąc się, tracę ręce, prosim
uniżenie
O nowinki, pytamy, co słychać
o Jenie?“

Oczywiście nazwisko Józefa Grabowskiego z Łukowa, długoletniego dobroczyńcy i opiekuna brata poety — Franciszka, Mickiewicz umieścił z wdzięczności, bo w roku opisywanym tenże Józef liczył za ledwie lat piętnaście, a później nie był szefem pułku, tylko podporucznikiem. Wspomniane tu Objezierze pod Obornikami było wtedy własnością Turnów i leży około 8 km w prostej linii od Łukowa.

Upadek powstania listopadowego zastał Mickiewicza w Poznaniu. Przez granicę prusko-rosyjską zaczęli przedostawać się powstańcy. Przybywało ich coraz więcej. Mickiewicz wiodł z nimi długie rozmowy, a m. in. z poetą Stefanem Garczyńskim. Jego opowiadanie o przeżyciach z powstania stało się wątkiem do Reduty Ordona. Tu także pod wpływem opowiadań powstańców napisał poeta najpopularniejszą wówczas wśród pieśni narodowych — „Pieśń Żołnierza“.

W miarę rozczarowania się uczuć patriotycznych w społeczeństwie gasły huczne zabawy i polowania szlachty wiel-



M. E. Andriolli (XIX wiek) jest twórcą pięknych ilustracji do utworów Adama Mickiewicza (ilustrował „Balladę“, „Dziady“, „Grażynę“, „Konrada Wallenroda“, „Pana Tadeusza“).

„Aż Zosia, już strudzona,
spotkała z kolei Tadeusza,
i dalszej lękając się zmiany,
i chcąc przy nim pozostać,
zakończyła tany“.

„Pan Tadeusz“ — Księga XII (CAF)

kopolskiej. Rozpoczęły się germanizacyjne rządy Flottwella i gen. Grolmana. 30 milionów marek Prusy przeznaczyły na wykup podupadłych polskich majątków. Ograniczono prawa języka polskiego w szkołach, sądownictwie i urzędach. Społeczeństwo rozpoczęło ciężką walkę o swój byt narodowy.

Adam Mickiewicz pisał już w Dreźnie trzecią część „Dziadów“.

Źródła: A. M. Skalkowski — „Fragmenty“ 1920; B. Zakrzewski — „Mickiewicz w Wielkopolsce“, 1949.

BALET czy widowisko?

(Dokończenie ze str. 1)

skiego, popisując się olśniewającą wirtuozerią akrobatyczną i aktorską. Władysław Milon (występuje na zmianę z Bohusławem Stańką), znany ze świetnej kreacji księcia w „Jejorze łabędzim“, święci niemniej triumfy techniczne w roli młodego Twardowskiego, jednakowoż jest to jakiś „elegancki czarnoksiężnik“ ze stałym półumieszkaniem na twarzy (zwłaszcza w scenach haremowych). Jest to Twardowski anemiczny, nie zaś pełen sarmackiego rozmachu szlachcizna z „butą, zadziwczym męstwem, drażliwym poczuciem honoru, chytrością i sprytem“ — jak pisze program. Feliks Parnell, doskonały Zygmun August oraz ciekawy stary Twardowski, wie dobrze, jaką rolę w baletcie-pantomimie odgrywa maska, dlatego też wspólnie z K. Drzewieckim święci prawdziwe triumfy tancerza i choreografa.

Nie wykorzystane w pełni w gracie w Olkuszu efekty świetlne — w III akcie działają bez zarzutu, a „Karczma Rzym“ poczynna przypominać roztańczoną chatę Wyspiańskiego, tak drzy od rytów ludowych. I tutaj mogliśmy obserwować „lwi pazur“ Parnella, świetnie operującego barwnymi grupami. Znamy motyw ludowy „Umarł Maciek, umarł...“ — znalazł twórcę trawestację w pochodzie katek wracających do zdrowia pod wpływem czarodziejskiej muzyki skrzypiec, podobnie jak i w fenomenalnej kreacji Drzewieckiego, ożywającego stopniowo po „zmaltretowaniu“ przez Panią Twardowską.

Krakowiaki, lalkonik, taniec cygański i tańce góralskie (dlaczego zbrojnie stylizowani na Wilhelma Tella?) porywają werwą i swojską nutą w znacznie większym stopniu niż w poprzednich aktach popularnie wale czy też „tragiczny polonez“ po raz pierwszy w tej koncepcji wyprzedzono na scenie. Wyróżnia się tu dramatyczna kreacja w roli królowej — Barbary Radziwiłłówny, tancerki o królewskiej urodzie — B. Garstkiewicz.

Teresa Kujawa jako Medea, a zwłaszcza Diablica-cyganka, była świetna w sylwetce i precyzyjnie technicznej.

Z pozostałych wstawek solowych wyróżnić musimy z premierowej obsady: Jutę Majewską (Judytę, Diablicę I, Pannę młodą), Marię Łapińską (Helena, Rajski ptak), Barbarę Gościńską (Kleopatra oryginalna w hieroglificznym geście, Diablica, Hurysa) oraz Eugenę Skotarczak. Mocne w wyrazie kreacje diabelskie stworzył Henryk Kopecki oraz świetnie technicznie i w aparce jako bożek snu Hypnos — Edward Pokrzywa.

Sam finał „międzyplanetarny“ daje jeszcze jedno pole do popisu malarskiego Stanisławowi Jarocekiemu, który umieszcza Twardowskiego nie na sierpnie, lecz na księżycu w pełni (wbrew legendzie), każąc mu spoglądać z ziemnej planety na ciążących się w cieple wieczornego ogniska ziemskim społeczeństwem ludzi. Samo zniknięcie Diabla jest jednak w finale zbyt gwałtowne i domagałoby się dodatkowego wyjaśnienia.

W librecie Różyckiego, opartym na powieści Kraszewskiego, tkwią dwie zasadnicze wady: ekspozycja aż do chwili podpisania cyrografu była zbyt długa, a na scenie mieliśmy za mało czarnoksiężskiej magii i diabelskich sztuczek, motywujących doraźne korzyści Twardowskiego z podpisania umowy. Parnellowi udało się w poznańskim debiucie powojennym te luki libretta znacznie przezwyciężyć (podpisanie cyrografu następuje już w II odsłonie), akcja nabiera wartości, a siłą rzeczy całe widowisko świeżych rumieńców życia, obalających sztuczne konwencje baletowego schematyzmu. Nie powstydzilibyśmy się tej koncepcji widowiska na żadnej scenie zagranicznej. Górzyński, Jaroceki i Parnell niejednokrotnie już tego dowiedli i zapewne jeszcze nieraz dowiodą. Czekamy wszyscy na to.

TEODOR SMIEŁOWSKI

KIEDY byłem uczniem Henryk Jantos

gimnazjum, jeden z profesorów parający się wykładowi z dziedziny propeutyki filozofii powiedział nam: „Jeśli postawię przed wami zadanie, lub zaskoczę was pytaniem, nie szukajcie skomplikowanych rozwiązań, nie sądzicie, że odpowiedź kryje się gdzieś bardzo daleko, że dotrzeć będzie można do niej poprzez hiperkombinacje myślowe. Rozejrzyjcie się uważnie. Pomyślcie. Bliżkość odpowiedzi zaskoczy was“.

Sadzę, że warto rozglądać się wokół. Warto — jak ktoś powiedział — wybałuszać oczy, wyczuwać słuch, śledzić tożsacze się obok nas życie. Warto w naszym życiu rwącym dzisiaj naprzód, jak wartki strumień, szukać odpowiedzi na dręczące nas pytania. Szukać rozwiązań.

FRAGMENTY DZIENNIKA MALARKI

11 wrzesień 1955. Daliśmy radę. Dostaliśmy salę Komitetu Frontu Narodowego. Och, jaka wielka radość i wielki strach! Taka duża, wspaniała sala i nasz mierny komitet blokowy. Ale to nic. Nasze zebranie odbyło się.

Wtorek, 27. IX. Gdy tak patrzeć na rezultaty swoich poczynań, jakiegokolwiek formy

przybierają, stwierdzić muszę, że żyją swoim własnym — choćby odlegającym od postawionego założenia — życiem. Żyją i mimo wielu niedostatków są jak ziarna. Trochę ziemi, słońca i opieki — wszędzie natychmiast...

29 września 55. Odbyło się plenium Zarządu Miejskiego LPZ. Praca LPZ na terenie bloków została oceniona na niedostatecznie. Pan Rychter zabrał głos w dyskusji i stwierdził, że na blokach nie się nie dzieje, że ciężko jest coś pchnąć naprzód...

Notatka bez daty. Byliśmy z dziećmi w Komitecie Dzielnicy. Przyjął nas tow. Łukaszewski. Mimo natłoku pracy długo rozmawiał z dziećmi. Obiecał, że jeżeli będzie to możliwe — świetlicę dostaniemy. Mimo zastrzeżenia byliśmy szczęśliwi. Kiedy wyszliśmy, chcieliśmy zakładać się o kilo cukierków, że dostaniemy świetlicę. Ponieważ jednak wszyscy w to wierzyliśmy, nikt nie przyjął zakładu. Cukierków kupimy.

19. X. Wielkie wydarzenie. W „Domu Drukarza“ zjazd korespondentek „Przyjaciółki“. Dostałam zaproszenie. Zabrałam głos w dyskusji. Powiedziałam, że budujemy nowe domy, w których są piękne sklepy i punkty usługowe, a zapominamy o świetlicach blokowych. Powiedziałam również o kłopotach naszego dziecięcego komitetu blokowego. Po moim wystąpieniu rozmawiał ze mną przedstawiciel prasy poznańskiej. Przyrzekł mi, że przyjdzie ktoś z redakcji dowiedzieć się o szczegółach sprawy.

TROCHĘ SZCZEGÓŁÓW
OBOK „Domu Drukarza“ przy ulicy Inżynierskiej specjaliście plac zasypany zwalaminami gruzu. Ze swego dużego okna na trzecim piętrze Eugenia Gogolewska — malarka, często patrzyła na ten plac. Nie widziała tylko wtedy, gdy myśl zaprzątnięta była poszukiwaniem barw i kształtów przyszłego obrazu. Kiedyś jednak skojarzenie dwóch pozornie obcych sobie faktów: uniknięcia cudem niebezpieczeństwa przez chłopaka przebiegającego zygawkami jezdnią i widok gruzu, zrodził oryginalny pomysł.

Dzieci odwiedzające malarkę, która pozwala strzelać z

wiatrówek, wyświetla bajki obrazkowe na ścianie, zawsze się śmieje dobrym, szczerym uśmiechem, a ma w oczach dużo smutku tylko wtedy, gdy dowiedzie się, że któremuś z nich grozi w szkole dwójka — dziecinnie przyjął propozycję „pani“ tak jak tylko one umieją. Z ogromnym entuzjazmem wyrażonym okrzykami, podskokami od których drżą ściany, klaskaniem w dłonie, rzucaniem się na szyję. Kiedy ochłonięły z pierwszego wrażenia, zaczęły sypać pytaniami; śmieśniały szczegółowymi wobec zasadniczych trudności, jakie nastrożowało przedsięwzięcie. — Jak nazwiemy ogródek? Jakie będą kwiaty? Piaskownica też? Kto będzie mógł chodzić do ogródka? Czyba nie wszyscy? W każdym razie uzgodniono, że ogródek, który powstanie na gruzach, nosić będzie imię Józefa Stalina.

Starsi z pobłażaniem spoglądali z okien na dzieciarnię podającą sobie z rąk do rąk popatrzone cegły. Tak wolno malała ich ilość. Rodzice nie oponowali przeciw tej robotce. Niech lepiej cegły przetrzaskają, jak miałoby się łobuzować — brzmiała zgodne przekonanie. Tylko ręką szkoda. Później zaczęli nawet chwalić pomysł. Zauważyli bowiem, że dzieci po przyjściu ze szkoły zabierają się bez poganiiania do lekcji. A dziećmi zaczynało zależeć na tym, aby móc na pytanie postawione przez ich panią — czy odrobiłeś lekcję? — odpowiedzieć twierdząco.

Dziwne zabawy urządzano, gdy ogródek otworzył podwoje. Gromadka dzieci obśiadła szczerze ławkę, kołysze się miarowo. Aha, inscenizują tramwaj. Przed nimi, po ścieżce, śmieśnięcie drobne kroki i z trudem ciągnąc za sobą prawą nogę posuwa się małe postać. Kiedy zbliża się do ławki — dzieci ustępują miejsca. Robią to z powagą, w skupieniu. Będąc w domu, w parku, tramwaju, czy gdziekolwiek indziej, chyba nie zapomną tej wzruszającej lekcji dydaktyki.

Powstał trudny problem. Czy pozwolić bawić się w ogródku tym, którzy budowali, czy również i tym, którzy najpierw wysmiewali się z dziecięcych wysiłków, a teraz spoglądają łakomie poprzez oczka drucianej siatki na swych rówieśników? Wiek-

szczość orzekła, że ogródek należy do wszystkich. Rzucono nawet projekt przyciągnięcia starszych kolegów łobuzujących się po bramach. Pomysł jednak spotkał się z opozycją. Ktoś z chłopców powiedział, że jest niecyfrowy. Natomiast gremialnie zgodzono się na inną propozycję: kiedy jakimś cudem zdobędą świetlicę, część jej przeznaczyć dla starszych. Wątpięcego w to czy starsi chłopcy przyjdą do tej świetlicy zaatakowano pytaniem: a ty nie przyszedłbyś, gdybyś wiedział, że tam będziemy my wszyscy, kolorowe pisma, szachy, warcaby, ping-pong, że będzie film? Pycha, co?

— No, chyba że bym przyszedł. Sporo czasu upłynęło od dnia, w którym toczyły się takie rozmowy. W miejscu, gdzie był kiedyś ogródek wznosił się dziś nowiutki, czysty dom. Chyba przyjemnie się tu mieszka. Żal, że w domu nie ma świetlicy — wdychają dzieci.

CZEGO NIE WOLNO

PRZYSZŁEŁ czas, że zaważyły to same. Ich działalność przestała mieścić się w ramach blokowego koła Ligi Przyjaciół Zolnierza. Udział w zawodach na strzelnicę? Owszem! Zebrania i pogadanki przeprowadzane przez wojskowych? Ciekawe i pożyteczne. Ale to było wszystko mało. Dzieciom z Inżynierskiej marzyła się jakaś ich własna organizacja, z ich własnymi zadaniami. Wtedy malarka Gogolewska zaniepokoiła dziecięcą wyobraźnię pomysłem o założeniu komitetu blokowego. Pomysł doczekał się realizacji.

Mam przed sobą niewielką kartkę maszynopisu. Czytam jakie obowiązki spoczywają na członkach tego zadziwiającego komitetu blokowego. Zdumiewający jest rozsądek gromadki małych entuzjastów.

„Celem komitetu jest doprowadzenie do zgodnego współżycia wszystkich dzieci na terenie bloku i szkoły.

Obowiązkiem członka komitetu jest:

— otaczać opieką młodsze dzieci, nie dopuszczać do sprzeczek;

— pomagać starszym w odrabianiu lekcji; w razie jeśli powierzony opiece członka komitetu uczeń jest nieposłuszny, blokowy sprawdzi u niego w domu za zgodą rodziców



— Dlaczego lubicie waszą panią?
— Ona jest bardzo fajna. Łobuzować nam się nie pozwoli, ale uczy nas za to strzelania z wiatrówek, wyświetla filmy, bawi się z nami. Fajna jest nasza pani!

*) nie posiadającego konia

Triumf obludy

Romans miłosny księżniczki Małgorzaty z „group-captainem” czyli pułkownikiem lotnictwa Piotrem Townsendem znany był w Anglii od kilku lat. Był przedmiotem plotek w sferach arystokratycznych i — od czasu do czasu — głosów tzw. „wielkiej prasy” burzawnej. Od kilku tygodni zaś stał się „sprawą wagi państwowej”.

Małgorzata postanowiła mianowicie poślubić p. Townsenda, zajmującego obecnie stanowisko attaché lotniczego przy ambasadzie angielskiej w Brukseli. Zawiadomiła więc o swym zamiarze królową Elżbietę z racji nie tylko jej starszeństwa, lecz przede wszystkim w myśl prawa z r. 1772, postanawiającego, że bez zgody monarchy żaden członek domu królewskiego nie może zawrzeć małżeństwa.

Townsend nie jest pochodzenia arystokratycznego, lecz — być może — nie okazałoby to się przeszkodą do zawarcia małżeństwa z księżniczką domu królewskiego, wobec przychylniej Małgorzacie opinii publicznej. — Miał on jednak to nieszczęście, że pierwsze jego i krótkotrwałe małżeństwo sprzed 10 laty okazało się nieszczęśliwe i że uzyskał wtedy rozwód. Kiedy więc Małgorzata zawiadomiła o swym zamiarze, wystąpiły przeciwko niej wszystkie konserwatywne koła, na czele z angikańskim prymasem Anglii.

Ostatnie tygodnie pasjonowały więc opinię angielską „sprawa Małgorzaty”, która w murach pałacu królewskiego i siedziby prymasa stoczyć musiała samotną walkę o swe osobiste szczęście. Choć cała postępową opinią angielską była po stronie Małgorzaty i w związku z jej sprawą zgłoszono nawet interpelację w parlamencie, zwyciężyła jednak hierarchia kościelna. Wypowiedziała się ona stanowczo przeciwko ślubowi księżniczki z człowiekiem rozwiedzionym.

Jak się królowa Elżbieta jako siostra i kobieta ustosunkowała do

prośby Małgorzaty, pozostaje tajemnicą komnat królewskich. Jako monarchini musiała się dostosować do woli hierarchii kościelnej, którego jest ona głową. W innym razie doszłoby bowiem do otwartego targu z jedną z głównych podstaw monarchii w Anglii. A ponieważ jest ta władza przytykiem średnio wiecznym, regulują ją prawa średniowieczne — antyludzkie.

Po rozmowie z Małgorzatą prymas Anglii powiedział w następnym swym kazaniu: „Trzeba umieć ponieść ofiarę, aby znaleźć prawdziwe szczęście”. Konserwatywny „Times” zaś, do którego komitetu politycznego należy m. in. również prymas, postawił Małgorzacie ultimatum: „Siostra królowej, poślubić człowieka rozwiedzionego, znalazłaby się w sytuacji uniemożliwiającej jej spełnienie swej istotnej roli w królestwie”. — Nie szedł więc ani o krok w stronę, ani obłudnego apelowania do „poczucia obowiązku”, by zlać księżniczkę...

Nie wiadomo, ile też przeżyła Małgorzata, jak głęboką przeżyła walkę wewnętrzną, nim zgodziła się na opublikowanie oświadczenia, że rezygnuje z poślubienia p. Piotra Townsenda. Oświadczyła, że czyni to „w imię poszanowania nauk kościelnych (...) oraz świadoma obowiązku wobec Wspólnoty Brytyjskiej”. — Tak się skończył dramat miłosny księżniczki, która swe uczucia musiała poświęcić na rzecz przetrwania „racji stanu”.

Nawet jednak liberalna prasa burżuazyjna podkreśla, że zwycięstwo kościoła nad Małgorzatą ani nie przysporzyło mu sympatii, ani nie wzmocniło średniowiecznej instytucji monarchii. Obluda zatruła fawelę o prawdę raz jeszcze, lecz także „triumfy” są etapami ku lepszej przyszłości, który np. w dziedzinie małżeństwa dopuszcza wszelkie nie moralności, byle były pokryte oficjalną „moralnością”, z pogardą zaś odnosi się do najprostszych uczuć ludzkich. (lech)

ZE STARYCH SPARGALON

DOBRE LEKARSTWO!

Proboszcz krobowski — ks. Wolniewicz, w swoich księgach rachunkowych takie podaje uniwersalne lekarstwo na oczy:

„Na początku lipca miesiąc przed wschodem słońca z domu wyprawie panienkę, aby ta w czystą chustkę albo prześcieradło z perzicy mianowicie zbierała rosę. Ta rosa niech będzie wyciśnięta w flaszkę, do chłodnego wstawiona sklepu, a potem przez kilka dni bez przestanku oczy tą rosą niech będą umyte wodą. — W krótkim czasie jasność i czystość oczu będzie.”

Trzeba pamiętać, że był to czas największej w Polsce ciemnoty, bo połowa XVIII w. (S)

WINNA KOBIETA

W grodzie kaliskim, zeznaje w r. 1742 „ślawny” kucharz — Michał Gajowski z Wieliczki, że bierze poddaństwo u Piotra Sokolnickiego, ponieważ zamierza się ożenić z poddanką jego — Zofią, córką kowala z Karmina. Z tego samego powodu czynią to w roku 1746 parobek Kazimierz dla córki kmiecia Marcina z Gogolewa, w r. 1747, Józef z Rusi dla „dziewki” Katarzyny z Gogolewa i kilku innych. — Wszyscy czynią to z miłości, a miłość ta musiała być bardzo silna, jeżeli rezygnowali za siebie i swoich potomków z najwyższego dobra, jakie człowiek posiada — wolności. (S)

PLASTYK

W K. otwarto wystawę malarstwa i rzeźby. Po przemówieniu szesnastoletni chłopczyk wstąpił na scenę i powiedział: „Dzieci z kwiatami” i „Dzieci na plaży”.

Jeden z artystów eksponował dwa obrazy olejne, zatytułowane: „Dzieci z kwiatami” i „Dzieci na plaży”.

Ludzie zatrzymywali się przed tymi obrazami, szepotali, kiwali z dezaprobatą głowami.

Rzeczywiście, dzieci były brzydkie, może nie tylko brzydkie, co dziwaczne. Zwracały uwagę ich wielkie oczy, niewiadomego koloru, bo schowane jakby za czarnymi szkłami i brwi wygięte ku górze, a usta szerokie i grube, jakby napuchnięte, podobne do zwiniętych naleśników. I co ciekawego, w galimatias rysów widać było trochę jeszcze nieśmiały uśmiech. Było coś zastanawiającego w tych figurkach,

którym towarzyszyły białe chryzantemy, babki z piasku i zielonkawym, spienione morze.

— Co to za dzieci? — pytali się ludzie, wzruszając ramionami. — K...bs... — ten i ów sylabizował nieczytelny podpis na dole płótna.

— Nie rozumiem — rzekł krytyk.

— Ani ja — powiedział jego kolega — chociaż można by przyjąć, że twórca wyraża solidarność z walką ludów kolonialnych. Symbolika, oczywiście pozytywna...

— Hm, polemizowałbym z twoimi wywodami — rzekł niepewnie pierwszy — albowiem myślę, że ta deformacja jest produktem chorej wyobraźni mieszczucha.

Tymczasem plastyk w palcie o barwie kawy z mlekiem i żółtym, przybrudzonego szalikowi wsiadł w tramwaj i pojechał do domu.

W jego mieszkaniu królował artystyczny rozgardiasz. Przybory do malowania walały się porozrzucane po kątach. Na stole pęczniała połówka chleba. Głowa śledzia ozdabiała pięknie talerzyk, obok stała napęczniała flaszką wódki. Martwa natura.

Na ścianach wisiły w bezładnym szylku szkice ołówkiem i akwarelki, opatrzone datami: styczeń 1944, maj 1946, a także lipiec 1952, styczeń 1954 itp. Wszystkie przedstawiały dzieci o grubych, murzyskich wargach i skośnych oczach. Dzieci różniły się tylko uśmiechem. O ile te „wcześniejsze” twórcy autor nacechował rozpaczą i beznadziejnością, o tyle na buzie młodsze kładł się już promyk radości. To była jakby ewolucja uśmiechu.

Mały szkic główki opierał się o lampę przy łóżku, na przeciwko poduszki.

Z biurka na łwach łapach spoglądało oblicze młodej kobiety uwiecznionej fotograficznie w atelier „Dorysa”. Kobiety o bardzo oryginalnej urodzie, której znakiem szczególnym były wydane usta i wielkie ciemne oczy. O takich ustach mówi się „zmysłowe”, a o oczach, że „świecą jak gwiazdy”. „Nie zapomnij o mnie”, brzmiała dedykacja na zdjęciu.

Twórca otworzył szufladę biurka i raz jeszcze rzucił okiem na pocztówkę, której treść znał na pamięć. Czynność tę powtarzał codziennie. „Wczoraj, 10 maja 1943 r. urodził się nasz syneczek, jest cudny”, donosiło drżące, miejscami pozalane pismo w języku niemieckim. „Jestem szczęśliwa, jestem zdrowa, my tu pracujemy. Niczego nie przysiągaj, bo tu jest kantyna. Twoja Zosia.” To była kartka stamtąd, pierwsza i ostatnia. Po roku zwrócono fotografię — wszystko, co po nich zostało.

Schowaj ją do szufladki i podszedł do okna. Garść słońca przedzierała się przez gęstą sieć firanki. Wyjrzał na ulicę, przed domem pisały dzieci, wrywając sobie pilkę. Ich śmiech dzwonił srebrzysto, głuszył tykanie zegara.

Zrobił w tył zwrot, zatrzymał się przed lustrem o złocistych ramach. Zobaczył wysokie, dzięki postępującej tyfusie, czoło, szczupłą twarz, chudy nos, wąskie tasiemki warg i oczy jasnoniebieskie, wodniste, a nad nimi brwi delikatne, wygięte śmiałym łukiem.

Plastyk miał skośne oczy.

Kropla octu

(Dokończenie ze str. 1)

chem intelektualnym ma swój społeczny sens. Z niej powstało kiedyś „Wesele” Wyspiańskiego. W Poznaniu plotka dnia odmiennie zajmowała się „Brodą” dr. Smolińskiego. Dlaczego nie mogłaby się zająć także jakimś swoim wydarzeniem w Poznaniu w rodzaju „przeszkód rodzinnych” w małżeństwie wybitnego naukowca — prof. X z przystojną przedownicą pracy ZISPO? Lecz plotka polemiczna powinna dotknąć i rozstrząsnąć przede wszystkim szeregu zjawisk społecznych, obyczajowych, gospodarczych i kulturalnych, których jest mnóstwo w naszym otoczeniu.

A więc odważ! Więcej wielkomiejskiej aktywności towarzyskiej i młodej zaściankowości. Więcej pasji do drobnej twórczości kulturalnej, a mniej drobno-towarowego stosunku do życia.

Uważam, że Poznaniowi potrzeba na gwałt klubu literackiego, klubu młodej inteligencji, klubu aktywistów świetlicowych i klubu artystów (lecz nie do konsumpcji nogi wlepszaj!). Podobno istnieje gdzieś w Poznaniu Klub Naukowców, gdzie można — napić się tylko dobrej kawy.

Życie kulturalne bowiem miało stać się grzeźną w opłotkach parafianczyzny i, pomimo snobowania się Operą i Filharmonią, oraz pomimo felfel-tonów E. Paukisty, upodabnia się do życia kulturalnego tego m. in. miasteczka, o którym pisał niezapomniany „Karaku-liambro” w swoim wierszu pt.: „List noworoczny”. Przeczytajcie, jeśli dostaniecie jeszcze w księgarniach, wydanie poezji Konstantego Ildefonsa.

BOGDAN DANOWICZ

MAKARENKI

uczni, czy lekcje odrobił starannie, czy, bez wydzierania karetek z zeszytu, blokowy zawiadania w swoim bloku rodziców o zebraniach rodzicielskich w szkole czy poleceniach wychowawcy klasowego:

— przyjmować skargi rodziców na dzieci opuszczające się w pracach domowych i nieposłuszne. Za podobne przewinienia każde dziecko odpowiadać będzie przed kolektywem”.

Czytam czego nie powinni czynić blokowi i trochę śmiać mi się chce i trochę wzrusza mnie powaga z jaką dzieci formułują zadania, nad którymi starsi od dawna łamią sobie głowy.

— „Nie wolno używać brzydkich wyrazów. Dziecko, które nie wypełni tego warunku, nie będzie wpuszczone na przedstawienie zespołu blokowego, aż do poprawy; — niedopuszczalne jest palenie papierosów, czy przywłaszczanie czyjejś rzeczy. Dziecko, które dopuści się takiego wykroczenia, nie może być członkiem dziecięcego komitetu blokowego;

— blokowy, który dopuści się kłamstwa wobec rodziców czy przełożonych, np. gdy go zapytają, co dziś zadane w szkole, a on odpowie, że nie i skłamiem — takie dziecko nie może być blokowym, gdyż postępuje nieuczciwie.”

O DROGACH ŻYCIA, SUMIENIU I ROZUMNEJ MIŁOŚCI

KIEDY rozmawiałem z dziećmi i ich opiekunką, co chwila musiałem zatrzymać myśl, aby nie przepuścić ważnych epizodów. Czułem się jak człowiek, któremu kazali oglądać galerię przepięknych obrazów, lecz za mało na to dali czasu. A ja chciałem pochylić się nad każdym z nich, rozkoszować się pięknem szczegółów, zgłębić historię ich powstania.

Było to zimą. W kolektywie zauważono, że jeden z chłopców coraz częściej opuszcza dnie szkolne. Stwierdzono przyczynę: ojciec piłak, siostra ma własne dziecko i jemu poświęca każdą wolną chwilę. Chłopiec nie miał pończoch. Dzieci zebrały sporą ilość butelek, umyły je, sprządały i kupiły pończochy. Opiekunka grupy przekonała rodzinną chłopca, że byłoby zbrodnią nie pozwolić mu kształcić się. Dziś chłopiec uczy się w Technikum. Nie ma zamiaru kończyć na tym.

Nie śmiałbym w sprawach dotyczących ludzi ustalać jakichś recept. Losy każdego człowieka innymi chodzą torami. Na wybór tego toru

wpływ mają czasem sprawy bardzo zwykłe.

Dziecięcy ogródek krzychał do przechodniów barwanymi wszystkimi kwiatami. Piękne kwiaty — ląkała to rzecz dla malca, który nie ma nic do roboty oprócz waleśniania się po nagrzanych słońcem ulicach. Gineły więc kwiaty z ogródka. Co rano dzieci z łałem przyglądały się klombom, na których czyjaś ręka dokonywała systematycznego spustoszenia. Opiekunka dzieci domyslała się, który z chłopców jest takim „miłośnikiem” kwiatów. Którego wieczoru zaproponowała wprowadzenie dyżurów w ogródku. Chłopiec, któremu powierzyła dyżur przyjął chętnie to zadanie. Kiedy dzieci rozbiegły się do domów i malarka opuściła ogródek, dyżurny pobiegł za nią. Zadzyszany stał z nisko spuszczonej głową i oczami utkwionymi w czubkach butów:

— Proszę pani. To ja zrywałam kwiaty. Już nigdy tego nie zrobię.

Trudno nam znaleźć klucz do ludzkiego serca. I każde z nich na inny otwiera się znak: myślę jednak, że to wielkie zwycięstwo w tak prosty sposób zdobyć sobie serce dziecka i tak mocno wstrząsnąć jego sumieniem.

Świetlica Komitetu Frontu Narodowego na Libelta była

pełna dzieci. Nie, nie tylko dzieci. Było i sporo rodziców. Niektórzy z nich ze zdziwieniem patrzyli na ceglaste rumienie barwiące policzki ich pociech. Na podnócenie, którego nie umiały opanować. Nie dziwny się. Wybory władz dziecięcego komitetu blokowego — to wielkie wydarzenie.

Fada nazwisko jednego z chłopców siedzących w pierwszym rzędzie. Po usmiechach dziewcząt i przyjaznych gestach kolegów widać, że jest lubiany. Kandydatura raczej pewna. Co to? Frosi o głos jedna z kobiet znajdująca się wśród obserwatorów zebrania.

— Nie zgadzam się z tą kandydaturą. Mój syn nie powinien być wybrany. Nie zasłużył na to. Bije słabiej, jest nieposłuszny w domu, niedbale odrabia lekcje!

Matka siada. Wszyscy patrzą na chłopca. Ktoś wyczuje kandydaturę. On zasłania oczy ręką, odchodzi w kąt sali. Wstyd, wielki wstyd wypisuje mu swój znak na twarzy.

Wierzę, że niełatwo przyszło matce mówić tak o swym dziecku. Wierzę, że ona mocno kochała i będzie kochać swego syna. Miłość ta posiada jednak to, czego brak jest często w stosunku rodziców do dzieci: jest to miłość rozumna.

JAK ZOBACZYĆ DUSZĘ?

DAWNO nie spotkałem człowieka, który tak wiele nagromadziłby w sobie entuzjazmu co malarka Eugenia Gogolewska. Jeżeli nawet mówi ona o tym, że nie może w tej czy innej sytuacji znaleźć rozwiązania, to jest w jej głosie coś co przykuwa uwagę, co każe skupić się i zmusza do poszukiwania razem z nią wyjścia z sytuacji. Pamiętam dobrze pewien fragment rozmowy.

— Moja dzisiejsza praca społeczna ma związek z moją przeszłością. Po prostu chciałam, aby wszystkie dzieci miały to, czego ja nie miałam. Proszę mi wierzyć, to nie jest łatwe. Widzę, że są efekty, że wysiłek przynosi stokratne rezultaty, nieraz jednak zwątpienie osiada na sercu i w żaden sposób nie można się od niego uwolnić. Kiedyś wychodząc z bramy natknęłam się na jednego z naszych chłopców. Uciekał. Za chwilę przybiegł go-

niący go. Proszę panią on mi zabrał „zośkę” (kawałek ołowiu zawinięty w szmatkę lub okręcony wełną). Pytam: zabrałeś? Ten zaprzecza. — Skąd proszę pani, nie zabrałem. Biorę go więc w obronę i tłumaczę. Skoro mówi, że nie zabrał, to znaczy, że nie. Ja mu wierzę! Nie zdążyłam nie więcej powiedzieć, bo chłopaczek, którego starałam się przekonać podszedł do mego „podopiecznego” i wyciągnął mu z kieszeni ową nieszczęsną „zośkę”. Poczuliśmy się jak człowiek usłaniający się przed siebie po wyjściu z dworca. Ze swój cenny bagaż zostawił w pociągu, który już, niestety, odjechał. Zadałam sobie pytanie: jak postępować, co zrobić żeby spojrzeć w oczy i zobaczyć duszę? Jak wnieść niepokój sumienia, wzruszyć je, aby móc na tej glebie zasieć ziarno?

Tak rozmawialiśmy idąc z malarką Gogolewską obciążając biblioteczkę dziecięcego komitetu. W drodze zdradziła mi, jakie marzenie powstało w dziecięcych głowkach. Oto przy ul. Inżynierskiej pod numerem pierwszym stoi w podwórzu murowany barak, służący kiedyś za magazyn dla pracowników Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego nr 2, które kiedyś stawało tu domy. Dzisiaj roboty są już skończone, a barak został. Jakież to było wspaniałe locum dla pierwszego w Poznaniu dziecięcego komitetu blokowego! Komitet, z którym prawie setka dzieci z ulicy Inżynierskiej, Libelta, Nowowiejskiej, Młyńskiej i Krętej nawiązała łączność, rozpocząłby pracę pełną parą.

Ciemna ścieżka, kilka schodków w górę. To tu. Otworzę nam Janka Lurówna. Biblioteka komitetu znajduje się w mieszkaniu jej rodziców. Z braku miejsca — w przedpokoj. Janka pokazuje mi zeszyty z nazwiskami stałych czytelników. Jest ich spora gromadka. Później opowiada jak podzielony został księgozbiór. Książki podróżnicze, historyczne, wojskowe...

Nieuważnie słucham. Zaśmiałam się, że nad małą biblioteczką. Jakis mężczyzna w okularach. W przedpokoju panuje półmrok. Nie dostrzegam rysów twarzy. Zdejmuję więc zdjęcie ze ściany. Uwieczniony na nim mężczyzna ma uśmiech i spojrzanie człowieka, który dużo rozumie. To Antoni Makarenko.

HENRYK JANTOS

Z okazji 100 rocznicy śmierci Adama Mickiewicza, Ministerstwo Łączności wydało specjalną serię znaczków pocztowych „Rok Mickiewiczowski”. Na zdjęciu: znaczek wartości 20 groszy wykonany według projektu artysty-plastyka Hanny Przedzieckiej przedstawia portret poety według obrazu Wankowicza. (CAF)

Halldor Kiljan Laxness



Tegoroczną Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury, przyznała Szwedzka Akademia 53-letniemu pisarzowi islandzkiemu Halldorowi Laxnessowi.

Z wyjątkiem notatek z podróży, wielki pisarz poświęcił całą swą twórczość własnemu krajowi. W latach międzywojennych wydał Laxness dwie powieści o islandzkim ruchu robotniczym, zdobywając od razu pozycję wśród postępowych pisarzy Europy. W dwu dalszych książkach opisał on swą podróż i pobyt w Związku Radzieckim. W roku 1940 ukazała się jego słynna trylogia pt. „Dzwon Islandii”. Z licznych innych dzieł wielkiego pisarza wymienić należy ostatnią jego książkę, napisaną w roku 1948, pt. „Baza atomowa”, będącą ostrą krytyką na zdradźców, którzy zaprzęдали samotną wyspę amerykańskim imperializmem. Dodajmy, że książka ta ukazała się w przekładzie polskim w roku przyszłym.

Wielki mistrz prozy realistycznej, Laxness, jest członkiem Światowej Rady Pokoju oraz laureatem Międzynarodowej Nagrody Pokoju za rok 1953. Piastuje również funkcję przewodniczącego Towarzystwa „Islandia-ZSRR”.

(J)

W niektórych powiatach tak obciążono rady gromadzkie i pełnomocników sprawozdawczością z akcji słownej, że brak im czasu na samą akcję.



Rys. Tadeusz Ulatowski
ORZA... ALE NIE SIEJA

WITOLD DEGLER

Odwaga

Z ludzką odwagą bywa dość różnie:
czasem nią błyskasz — a czasem już nie!
Choćbyś naturę miał heroiczną,
trzęsiesz portkami — albo spódniczką...

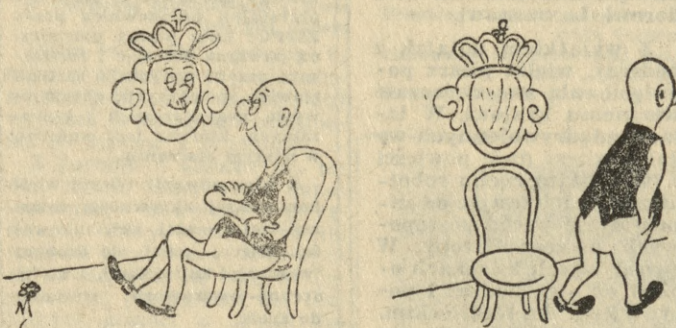
Mam znajomego, który na froncie
sporo bohaterstw na swoim koncie
wpisał — bo nie czuł strachu w ogóle:
śmiało szedł w ogień, gwiźdał na kule!
Ma krzyż walecznych i trzy medale
i byłby wzorem odwagi — ale,
gdy jest zebranie: on stuli uszy,
w „ogień dyskusji” za nie nie ruszy!
Choć wie niejedno — słowa nie pnie,
lęk mu krtań ściśnie: „Ach, lepiej dziś nie...”

Znam taką panią: jest urzędniczką,
w okresie wojny była łączniczką,
kolportowała podziemną prasę
i broń odważnie przeniosła czasem.
Dziś także sobie poczyna pięknie:
w biurze się nawet szefa nie zleknie,
w śmiałej dyskusji zawsze jest mistrzem,
co myśli, powie — i przy ministrze!
Pewności siebie nie jej nie zmąci,
jedna rzecz tylko myszka w niej trąci:
paniczna chwytła panią zadyszka,
gdy przez jej pokój przebiegnie myszka!

Pewien kolega — rosty mężczyzna —
też bohaterki nad podziw rys ma.
Raz, gdy był pożar w jednej z kamienic,
wyniósł chorego z morza płomieni —
to znów wyciągnął dziecko z topieli,
gdy z mola skoczył w sztorm się ośmielił!
Ten — to się nawet nie boi myszy!
Odwaga wszędzie mu towarzyszy —
i tylko trwoga wchodzi mu w drogę,
gdy się oświadcza: „Luba, czy mogę...”

Jedna niewiasta — mówię bez blagi —
wielkie przykłady daje odwagi.
Ta się nie lęka żadnego pana —
ni dżentelmena, ni chuligana!
Ta w „szybkościowcu” mieszkać gotowa,
z teściową w jednej kuchni gotować!
Swe lata zdradzi — i, co do joty,
w Skarbowym wyzna swoje obroty!
Ale przed wagą — koniec odwagi:
odważna pani zmyka od wagi!
Myślą o kilach stu ją przeraża:
„Odważ się pani!”

„Nie — nie odważę!...”



BEZ SŁÓW

Rys. Zb. Jujka

GUZIK

Pewien mały bank w prowincjonalnym miasteczku USA kazał założyć sobie instalację dzwonka alarmowego. Wystarczyło tylko na depnąć na guzik, ażeby uruchomić dzwonek alarmowy na posterunku policji.

Chwile po zmontowaniu zjawili się w okienku jakiś nieznajomy z rewolwerem w ręku i zazał wydaną wszystkich pieniędzy.

Kasjer czym prędzej nadeptnął na guzik — ale bez rezultatu.

Gdy napastnik oddał się ze swym łupem, zadzwonił telefon. Kasjer podniósł słuchawkę, usłyszał zasnany głos: „Tu mówię posterunek policji. Proszę trochę uważać, gdyż przed chwilą przez nieuwagę nadeptnął pan na guzik alarmowy.”

Julian Mikołajczak

JEST POPRAWA

Obowiązek walki ze sztaf-pą winien być wpajany już niemowlętom, bez względu na ich późniejsze zainteresowania. Gdy osobnik jest już dorosły, trudno nieraz przekonać go, że szablon, cenna i praktyczna rzecz w malarstwie pokojowym, daje niewielkie rezultaty np. w działalności kulturalno — oświatowej.

Do miłego obowiązku należy więc zasygnalizowanie pewnych znaków poprawy w tej dziedzinie. Jeżeli Powiatowy Dom Kultury w Gnieźnie wymieniam tu jako przykład powołania nowych wiatrów w życiu kulturalnym miast prowincjonalnych, nie będzie to zbyt wielką przesadą.

Postanowiłem niedawno skorzystać z tej cennej zdobyczy świata pracy, jakim jest Dom Kultury.

— Czemu tak późno? — przywitał mnie ostro młodzieniec w wiatrówie, kiedym przekroczył próg Domu.

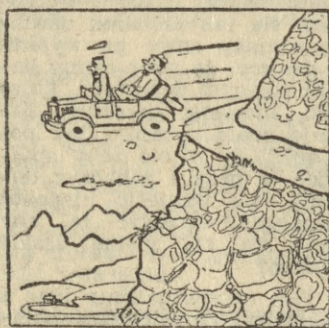
— Jakoś nie składało się... — odparłem.

— Co znaczy nie składało! A inni mogli przyjść o 7 rano, co?

Zaledwie pomyślałem, że o tak wczesnej porze za nic w świecie nie byłbym w stanie grać w warcaby, już otworzyły się drzwi do sali, w której kiedyś recytowałem z kolegami „Alpuhare” na cztery głosy.

— Nazwisko? — spytał przy stojny brunecik, zatopiony w aktach.

Nierejestrowanie osób, które korzystają z Domu Kultury, zawsze wydawało mi się przeoczeniem nie do wybaczenia. Podobnie i zawód, wykształcenie, stan majątkowy oraz miejsce zamieszkania rodziców w czasie okupacji — o które to szczegóły zapytał z kolei brunet — stanowią moim zdaniem konieczne uzupełnienie ogólnego obrazu człowieka jako istoty pragnącej podciągnąć się kulturalnie. Nie byłbym też wcale zaskoczony, gdy w następnym pokoju kazano mi się rozebrać do naga. „Przez higienę osobistą do upełnoważenia kultury” — przypomniałem sobie wyczyta-



Pasażer: Nareszcie przestało trząść!

O SATYRZE MYŚLI ZŁOTE

Humorysta łatwo zyskuje przyjaciół, satyryk — jeszcze łatwiej... wrogów.

Z humorem wszystko idzie lepiej — nawet satyra.

Satyra jest potrzebna. Można tak wnioskować chociażby po tym, że przyjaciele zaatakowanego mówią mu zwykle: „Tobie coś takiego nie zaszkodzi...”

(Tłum. z niemieckiego)

WIERZĄCY

On w szybkie zwycięstwo socjalizmu wierzy. Dlatego coraz więcej mówi zań pacierzy.

JESIEŃ W POZNAŃSKICH „MHD”

Tak. Smutna jesień i tu swe ślady znaczą: Już nowe modele widać... opalaczy.

Krzysztof Zieliński

ne gdzieś hasło, zupełnie pewny, że za chwilę wezmę prysznic. Niestety, daremnie szukałem łazienki, która prawdopodobnie nie była jeszcze wy-

Tadeusz Haluch

„A kiedy będziesz moją żoną?”
(Wolny przekład z Tetmajera)

A kiedy będziesz moją żoną umiłowaną, poślubioną, wówczas się ogród nam otworzy, ogród świetlisty, pełen zorzy.

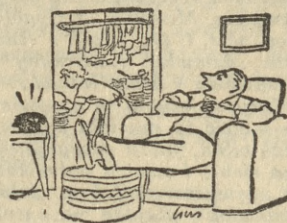
Szczęście upije nas jak wino, kiedy z anielską, błogą miną, pełni nadziei i szacunku przekroczym próg Kwaterniku.

Potem pójdziemy zamyśleni wśród złotych przymglań i promieni, aby najtaniej i bez braków zakupić garnki w „Okrągliku”.

A kiedy przyjdzie małe bobo i domu stanie się ozdoba — będziemy o nocnych marzeniach, czy też ukażą się w sprzedaży.

Ja zamiast czytać do poduszki, będę pachnące prał pieluszkę, a ty poczę znajdziesz życia w kapaniach, praniach, szyciach, myciach.

I tak nadejdą srebrne gody, a na te gody dla ośrody, po to, by szczęściem nas upoić — dadzą z przydziału nam pokoik.



— Podejść do telefonu, droga Emilio, i powiedz, że jestem bardzo zajęty!

(Badisches Volksecho)

WŁ. SCISŁOWSKI

PIGUŁKI

Wytrych — zagadnienie kluczowe dla złodzieja.

Ten pisarz jest zaskakujący. Jak zepsuty motocykl.

Pracuję pro publico domo — mawiała pewna pani.

Nauka o dalszym ciągu miłości — ginekologia.

Milczenie jest uranem, a mowa złotem.

Trzymanie języka za zębami obowiązuje szczególnie u dentysty.

Koniec satyryka: zmarł, nadziawszy się na ostrze własnej satyry.

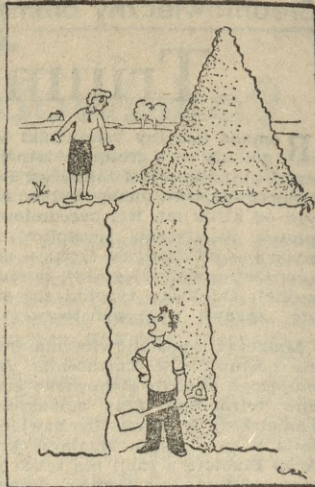
Szczyt nieporozumienia: umrzeć ze śmiechu na tragedii.

Waż wychodzi z siebie, gdy zmienia skórę.

W każdym trójkącie są trzy kąty. Tylko w małżeńskim wystarczy jeden, ale cichy.



BEZ SŁÓW



— Czy w dalszym ciągu twierdzisz, że w tym miejscu zgubiłaś spinę od włosów?!

Kienko NA ZACHÓD

WYCIECZKI ZARĘCZYNOWE

Pewne wiedeńskie biuro zajmujące się pośrednictwem małżeństw wprowadziło wycieczki zaręczynowe, które odbywały się w specjalnie wynajętym autokarze po najpiękniejszych okolicach Austrii. Pary dobierane są niezwykle starannie. Organizatorzy biorą pod uwagę zarówno charakter klientów, jak również szanse na ich skojarzenie. Pierwsza wycieczka przyniosła doskonałe rezultaty: spośród osiemnastu par sześć wyraziło zamiar niezwłocznego zawarcia ślubu.

TAK DŁUGO DZBAN...

Mister Arthur Toynbear obywał amerykańskiego miasta Greenwich uchodził od wielu lat za lunałyka. Wybierał się on regularnie nocą na dach swego domu, tu sięgał piżmę a następnie wdziewał na siebie swe codzienne ubranie przemysłowe ukryte we wnętrzu komina. Potem schodził po rynnie na ziemię i wędrował po lokalach, już w charakterze normalnego człowieka. Tak długo aż żona nie odkryła jego szluzek i zażądała rozwodu. Wyniku, niestety, nie znamy!

„Dyrektywa zrealizowana...”

Paweł Skretek, kierownik działu kadr i Antoni Zbijgo, kierownik działu finansowego Przedsiębiorstwa Reperacji Środków Transportu, odbyli naradę „przy drzwiach zamkniętych”. Przedmiotem dyskusji była dyrektywa o zmniejszeniu aparatu administracyjnego w przedsiębiorstwie. Sprawa rozpadła się na szereg drobnych i prawidłowe rozstrzygnięcie każdej z nich wymagało wiele sprytu i mistrzostwa.

— Jednak spróbujmy znaleźć wyjście — przerwał pauzę Skretek.

— Ano, spróbujmy — energicznie odparł Zbijgo.

I zaczęli. Robota potoczyła się wartko. Gdyby ktoś, założy-

szy uprzednio czapkę — niewiedzę, prowadził protokół, wyglądałby on mniej więcej tak:

1) O zniesieniu stanowiska starszego buchaltera głównej buchalterii i zwolnieniu z niego ob. Liczydło.

2) O zwolnieniu ze swoich obowiązków naczelnika oddziału sprzętowo-remontowego ob. Odpycha.

3) O zwolnieniu ze swoich obowiązków starszego buchaltera sprzętowo-remontowego oddziału ob. Rączki.

Podpunkt do pkt. 1) W związku ze zmniejszeniem aparatu wprowadzić dodatkowy etat inżyniera-ekonomisty, naznaczając nań ob. Liczydło, z czasowym pozostawieniem go na poprzednim stanowisku w buchalterii.

Do pkt. 2) Wymyślić funkcję drugiego zastępcy naczelnika oddziału przeglądu uszkodzeń i powierzyć jej wykonanie ob. Odpychowi.

Do pkt. 3) Podsunąć, jakoby starszemu buchalterowi oddziału mechanicznego potrzebny był zastępca. Na stanowisko to skierować ob. Rączkę.

W taki oto sposób narada bardzo pomyślnie zbliżała się do końca. Teraz pozostał już drobniak: napisać rozporządzenie o reorganizacji aparatu w taki sposób, aby całość dawała dobre wrażenie, a istota rzeczy była zupełnie niedostrzegalna.

Z zadaniem tym uporano się szybko. Naczelnik przedsiębiorstwa tow. Wolek bez namysłu podpisał rozporządzenie. Kierownicy obu działów zanotowali z zadowoleniem w oficjalnym protokole:

„Dyrektywa w sprawie zmniejszenia liczby etatów w administracji naszych zakładów została o pełni zrealizowana”.

(Z „Krokodyla” oprac. J. R.)